

„Dyktuś” 2010

Wejherowo, 13 marca 2010 r.

Drogi Hubercie!

Dzięki za list, który niedawno od Ciebie otrzymałem. Pisząc z nietuzinkowym wręcz poczuciem humoru, położyłeś kres moim smutkom i dodałeś przyjacielskiej otuchy. Pytasz uprzejmie, co skłoniło taki okaz zdrówka jak ja do pobytu w szpitalu na chirurgii urazowej?

Otóż pewnego, zimowego popołudnia, gdy spadł śnieżnobiałą, świeżutki śnieżek i chwycił kilkustopniowy mróz, wybrałem się na pobliskie lodowisko. Powód był szczególny. Jako żarliwy wielbiciel jazdy na łyżwach, chciałem wypróbować nowiutkie hokejówki. Kroczyłem więc dumnie równiutkim i oprószonym śniegiem chodnikiem. Nagle horda rozkrzyczanych zuchów, niczym huragan, przemknęła tuż obok. Mnie, dobrze wychowanego harcerza, wprawiło to w osłupienie i oburzenie zarazem. Wyobraź sobie, że byli na łyżwach. Nie mogłem uwierzyć, jak można jechać po takiej nawierzchni? Więc co? Musiałem przekonać się na własnej skórze. Porzuciłem zasadę drużynowego, która brzmi: nie narażaj innych na niebezpieczeństwo i wskoczyłem w moje nówki. Pomknąłem, bo z górki było. Zahuczało w uszach, poczułem smak życia, krótko mówiąc - ekstremalnie. A że było ślisko, zapragnąłem po chodniku wjechać wprost na lodowisko. Jak się trafnie domyślasz, pomysł ów był na tyle niesamowity, co zgubny. Szczęście Twojego przyjaciela nie trwało długo. Ni stąd ni zowąd pojawiła się urocza staruszka, niosąca paczuszkę ciasteczek ponczowych z cukierni „Jagódka”. Spojrzałem przerażony. By nie narażać jej na zderzenie, a honor drużynowego Czarnych Stóp na to nie pozwalał, ostro zahamowałem. No i zgubił mnie chytrze wystający krawężnik. Wyrznąłem jak długi, wprost u stóp starszej pani, która zerknęła na mnie pobłaźliwie. Jakie było zakończenie tej historii? Już wiesz.

Cieplutko Cię pozdrawiam.

Henio - niepohamowany łyżwiarz